

Stanisław Dąbrowa-Kostka

## WYCIĄGAM P-38...



**Pierwsze dni w Rzeszowie po wkroczeniu Sowietów były rozkoszne. Komenda Miasta AK, pod nią chłopcy w zrzutowych mundurach (z opaskami wojskowymi, biało-czerwonymi z literami WP), steny. Na ulicach patrole Wojskowej Służby Ochrony Pogranicza i patrole sowieckie. Mnie wysłali pod Krosno w rejon Korczyny na obserwację przemieszczającego się frontu. Wyjeżdżałem z Rzeszowa nowym rowerem niemieckim, kabura na pasie – nowiutka, śliczna, duża, w niej P-38.**

Mija mnie kolumna samochodów sowieckich. „Towariszcz partyzan, zdrowstwujić” – autentycznie z życzliwością, przyjacielsko. Zatrzymałem się. „Ty gieroj”. „Ty toże gieroj” – mówię do niego. A on mówi – „Niet, ja nie gieroj, mienia wziali, a ty dobrowolec”. Ja też chciałem być uprzejmy i mówię mu, że macie śliczne amerykańskie samochody. Jakie amerykańskie, to u nas dzielane w naszych zawodach. A tu na oponach jest napis USA. A to znaczy: ubij sobaku Adolfa. No dobrze, ale to jest nie waszymi literami. A to po to, żebyście wy potrafili zrozumieć.

Na tym przejściu frontu byłem trochę ponad tydzień. Wtedy nawet nie zdawałem sobie sprawy z tego, w jakim byłem niebezpieczeństwie. Rozumiem to dopiero dzisiaj, kiedy studiuję dokumenty. Kiedy po tych paru dniach wracałem do Rzeszowa, to akowska krew lała się prawie rynsztokami. Jadę z tą opaską WP, z pepeszą na brzuchu, bo na tym froncie jakiś pijany pułkownik sowiecki pepeszę mi sprezentował. Nocą nikt mnie nie zaczepił. Patrole tej sowieckiej milicji widziały, że jedzie gość na rowerze z biało-czerwoną opaską, ciemno, szczegółów nie było widać. Jedzie, widocznie ma prawo. Dwa dni później aresztowało mnie NKWD. Udało mi się uciec, ale już nie mogłem zostać w mieście. Rzeszów, dziura mała, ja bym ich nie rozpoznał (myśmy ich nazywali czubarykami, bo oni dla nas wszyscy byli jednakowi, tak jak Murzyni), ale oni mnie – tak, nawet gdybym się przebrał. Moje szefostwo doszło do wniosku, że powinienem zniknąć z Rzeszowa. Po „Burzy” gwałtownie wzrosło zapotrzebowanie na fałszywe dokumenty. Dla naszego okręgu komórka legalizacyjna była w Krakowie. Front się zatrzymał, przejście przez front mogło być co najwyżej w pojedynkę. Na dziesięciu to się czasem jednemu udawało albo i nie.

Na nasze tereny spłynęły setki oddziałów z Obszaru Lwowskiego, kryptonim „Lutnia”. To były zarówno zwarte oddziały, jak i pojedynczy konspiratorzy. My ich nazywaliśmy żołnierzami Lutni. Oni wszyscy potrzebowali fałszywych dokumentów. W sztabie rozmawiano o tym. Mój dowódca, Świda, powiada: „Dąbrowa” nie ma co robić, a adiutantem być nie może. Kiedy byliśmy w Kedywie, to jak potrzebny był jakiś dokument, przepustka – bo był okres, że w ogóle jeździć nie można było pociągami – to ja się tym trochę zajmowałem. Oczywiście nie wszystko robiłem sam. Czasami była kooperacja, tzn. ktoś poszedł z pistoletem i „poprosił” o druki, gdzieś tam parę kilometrów dalej, a ja robiłem pieczątki i podpisy. Padła więc decyzja – „Dąbrowa”, robisz sztabową komórkę legalizacyjną komendy podokręgu. Zrobiłem. Wyszkoiliłem ludzi. Czasami dziennie wydawaliśmy sto do stu pięćdziesięciu różnych dokumentów. Funkcjonowały kenkarty niemieckie, one były przestemplowywane,

oczywiście wszystkie stemple miałem, inne stare dokumenty jeszcze funkcjonowały, ale zaczęły też wychodzić nowe – np. zwolnienia z wojska, bo akowiec nie mógł iść do nich do wojska. Był taki rozkaz, miał swoje wojsko i zostawał w swoim. Będziemy dalej walczyć.

Miałem wtedy luksusowe warunki pod każdym względem. Przede wszystkim miałem świetną melinę na tę komórkę legalizacyjną. Moi chłopcy, to był zespół ochrony sztabu, uciekli przed enkawudzistami. Ja ich przebranzowiłem na fałszerzy dokumentów. Inspektorat rzeszowski AK miał jakieś 12, 13 tys. ludzi, obwód rzeszowski mógł mieć z 5 tys. albo więcej. W tej masie znalazł się i pieczętkarz, najlepszy w Rzeszowie, u którego, jak się później okazało, wszystkie władze, łącznie z sowieckimi i z UB, zamawiały swoje pieczęcie. Często byłem przy produkcji tych pieczęci i on mi robił ze składu odbitkę, jedna szła dla nich, druga dla mnie. Ta sama sytuacja była w drukarni, gdzie robili blankiety, m.in. zwolnienia z wojska, chyba w formacie A2. To brzmi jak dykteryjka, ale tak naprawdę było – ktoś tam zamawiał 500, a ja drugie 500 albo tysiąc. Drukarz był naszym człowiekiem. To się nazywało „zakaz wstępowania do armii Berlinga”. Zwolnienie takie wydawał jakiś tam komendant w stopniu majora; jak ktoś mu przywiózł litra, to dostawał zwolnienie. Ja miałem wyrobiony jego podpis, tak że bez zastanawiania się stawiałem go na tych drukach, grafolog by się nie domyślił. Później podobno była taka historia, że on siedział kompletnie zalany w knajpie, prawie spał w zupie pomidorowej stojącej przed nim i mówił – no, mogłem dać po pijanemu 50, no 60 zwolnień, ale czterystu nie dałem. Mieliśmy różne maszyny, również z rosyjską czcionką, pieczątki i druki rzeszowskiego wojewódzkiego urzędu bezpieczeństwa – wydawałem dokumenty bezpieki.

## Postrzał

Przychodzi koniec października, inni sobie chodzą po lasach, po górach, strzelają, a ja nic, zajmuję się pracą biurową... Któregoś dnia dowiaduję się, że w kinie jest wyświetlany sowiecki film *Katyń*, poszedłem na niego z łączniczką, Hanka miała na imię, w konspiracji „Iskra”. Kino to była taka długa buda przy głównej ulicy 3 Maja w Rzeszowie, dwa bloki krzeseł przed ekranem. Wchodzimy, w holu jest dwóch milicjantów, UB mają napisane na opasce, pepesze, mordy takie, że najpierw strzelać, a potem sprawdzać dokumenty. Siadamy na swoim miejscu, ja siadam przy tym przejściu, że w razie czego dwa skoki i jestem przy wyjściu, Hanka obok mnie. Gaszą światło, zaczyna się film, z którego wynika, że Sowietci trzymali Polaków w warunkach prawie sanatoryjnych, letniskowych, a potem wkroczyli Niemcy, wymordowali ich i jeszcze mówią, że to zrobili Sowietci.

W pewnym momencie sięgnąłem do prawej kieszeni, gdzie powinna być chusteczka do nosa. Może to śmiesznie brzmi, ale gdybym ja nie był przyzwyczajony, że tu chustka, tu P-38, tu czeska Skoda, tu na pasku granacik, wszystko na swoim miejscu, to byśmy teraz nie rozmawiali. Jak się wyprowadzałem z kwatery, na której przypadkiem byłem, to w ciągu trzech, czterech minut potrafiłem wszystko zlikwidować, żeby śladu nie było, żeby nie narażać gospodarzy. Oni drzwiami, a ja przez okno. Sięgam więc do tej prawej kieszeni, gdzie ma być chustka do nosa, a tu jest czeski śliczny pistolecik, krótka „dziewiątka”. Powinna być w innej, a znalazła się w tej kieszeni. Byłem w kurtce, wyciągam tę „dziewiątkę” z kieszeni, a tu jak nie rypnie! Nabój był w lufie, bezpiecznik się odhaczył. Huk! Ale stłumiony dosyć grubą materią kurtki. Światło, kto strzelał? Ci z tyłu mówią, że to gdzieś z przodu, ci z przodu, że to ktoś z tyłu, już nie pamiętam, do których się dołączyłem. W końcu nikt się nie przyznał. Ktoś mówi, to pewnie na ulicy ktoś strzelał, bo strzelaniny, nawet granaty, to była wtedy normalna rzecz. Zgasili światło i w dalszym ciągu pokazują ten *Katyń*. Pierwsza

rzecz – wyciągnąłem to kopyto, delikatnie przekładam łuszczykę do kieszeni. Ruszam nogą, nic nie czuję, wszystko w porządku, ale kładę rękę na udo – ślisko. I powiadam do „Iskry”: Hanka, ja się postrzelilem. Pomijając to, że mogłem sobie odstrzelić to, co mężczyźnie jest bardzo potrzebne, ale przecież w tej pozycji to przez kość mogło przejść trzy razy. Anioł Stróż sprawił, że tylko przeszło przez mięsień, ale krwawi, prawie bulgocze.

Wychodzę. Ci z pepesami nie zaczęli mnie. Jeszcze funkcjonowały nasze, akowskie punkty sanitarne, niedaleko był jeden z nich. Idę tam, są tam nasze dziewczynki, sanitariuszki. Piękne mieszkanie, jakieś fotele klubowe, sanitariuszki prześliczne dziewczyny, szczęśliwe, że nareszcie jest ranny. Sadzają mnie na ten fotel, z buta wylała się krew, to były buty z cholewami, i próbują mi ściągać portki. Jak wojna się zaczynała, ja miałem piętnaście lat, przedtem się zajmowałem bardziej lotnictwem i filatelistyką, a nie dziewczynkami. Wstydziłem się. One próbują mi portki ściągać, a ja wyciągam P-38 – baby won! Zwały na skurczonych nóżkach. Potem któraś otwiera drzwi i pyta: to co my mamy zrobić? Lekarza!

Nogę trzymam do góry, portki uchyliłem sam, widzę tę bulgoczącą krew. Miałem opatrunki osobiste dwa, niemieckie, zawsze je nosiłem. Za chwilę drzwi się otwierają i wchodzi lekarz, taki malutki starszy pan, absolutnie pewny siebie. Lekarze wtedy mieli ogromne rozkładane torby. W ogóle na mnie nie patrzy, stawia tę torbę na stole. Muszę się przyznać, że ja się strasznie bałem strzykawki, bardziej niż granatów i karabinów maszynowych. Jak widziałem strzykawkę, to wyobrażałem sobie, jak się rozsuwają komórki, gdy ta igła tam wchodzi... Lekarz wyciąga z torby strzykawkę, nakłada igłę, nabija jakieś lekarstwo, pstryka powietrze i do mnie z tą strzykawką. A ja za P-38 – stój! Strzykawka na stół! Pewnie pomyślał, że to wariat w szoku, widzi, że wszystko zakrwawione. – Rączki za siebie! Dermatol i opatrunek osobisty, żadna strzykawka. – Nie mam dermatolu! Są tutaj sanitariuszki, niedaleko jest apteka, posłać. Skutek był taki, że ja po niecałych dwóch dniach straciłem przytomność, zaczęło się jakieś zakażenie. To moje wojsko z komórki legalizacyjnej przewiozło mnie do Przemyśla, do domu. Jak się obudziłem, myślałem, że jestem w niebie – mama, brat, swoi. Przemyscy lekarze najpierw rozbroili mnie z tych dwóch pistoletów. I wyciągnęli mnie, to był przełom października i listopada. Moje imieniny 13 listopada były tam, w Przemyślu. Jeszcze do marca 1945 r. roku chodziłem o lasce, tam się jakieś paskudztwa porobiły po tym zakażeniu, ale wyciągnęli mnie.

## Odbicie jeńców

Od mojego kuzyna, Adama Wochańskiego „Dunki”, dowiedziałem się, że wpadł cały sztab komendy podokręgu rzeszowskiego, ponad 30 osób, wygarnęło ich NKWD. Nie mam dokąd wracać. Znalazłem kontakt na inspektora przemyskiego, Bronisława Kochankę „Ludwika”, który mi powiedział, że wakuje funkcja oficera dywersji. Ale musi pan pseudonim zmienić, bo „Dąbrowa” był już notowany. Ja lubię sobie żartować i mówię mu – takie czerwone czasy nastały, to może „Dzierżyński”. Wspaniały pseudonim, niech zostanie. Byłem „Dzierżyńskim” przez prawie cały 1945 r. Dostałem rozkaz – wiązać kontakty, znaleźć broń (której było trzy razy więcej po „Burzy” niż przed „Burzą”), przygotować napad na obóz przejściowy w Bakończycach, który był obozem zbiorczym z całego terenu tego dawnego, dużego województwa rzeszowskiego, i przygotować rozbicie więzienia w Przemyślu. Sam smak. Jeszcze okazuje się, że moja mama siedzi w propagandzie akowskiej, bo AK jest jeszcze do 18 stycznia 1945 r., a później jest „Nie” (Niepodległość), później Delegatura Sił Zbrojnych na Kraj, to w pewnym sensie jest stale AK, tyle że o innych nazwach.

Nieaktualny jest ten obóz przejściowy, bo Sowieci go zwijają. Już nie idą transporty zbiorcze; jak front ruszył, to oni to już inaczej organizowali; dwa, cztery, trzy transporty szły bezpośrednio z Krakowa, a później przestały jeździć, później pojedynczo wywozili i nie wszystkich, tylko jakieś tam figury. Skupiam się więc na tym więzieniu. Mam swój oddział dywersyjny i przygotowuję dwie koncepcje napadu. Tu można było działać tylko albo siłowo, albo fortelem, a więc samouwolnieniem od środka, ale kontrolowanym z zewnątrz. Z zewnątrz, czyli przygotowanym, zorganizowanym przez naszych ludzi, łącznie z odskokiem z więzienia i przemarszem, z przeprawą przez San łódkami. Była tam wprawdzie sowiecka kładka saperska, ale stale kontrolowana przez NKWD. To wszystko trzeba było zorganizować. Ja nie mogłem w razie samouwolnienia dawać namiaru na moją bazę. Nie wiedziałem, w jakim psychicznym stanie są ci uwięzieni.

To byli chłopcy akowcy, gdzieś tam zmobilizowani ze Stanisławowa, Lwowa, Gródka Jagiellońskiego i po jakimś czasie wyciągani przez Informację Wojskową, czytaj przez NKWD, na przesłuchanie. Prawdopodobnie wszyscy by zginęli. Było ich sporo, moim zdaniem tam siedziało półtorej lub dwie setki. Realizowany był wariant samouwolnienia, który do ostatniego szczegółu opracowałem i przygotowałem. Broń krótką podrzuciłem do więzienia 9 maja, czyli w dniu, gdy po raz drugi Niemcy kapitulowali przed Stalinem, bo raz już kapitulowali przed aliantami zachodnimi. Była wielka feta, strzelanina, rakiety w górę. Chłopcy opanowali straż, powiązali strażników. Większość tych chłopców była w mundurach. Zrobili to wszystko w biały dzień, przed południem. Sformowali kolumnę, taką, jakie formowano do wyprowadzenia na stację kolejową do wywózki czy na przesłuchanie gdzieś do tych przyfrontowych jednostek NKWD. Takie biedne wojsko pod eskortą, płaszcze porozpinane, bez pasów, powiązane ręce do tyłu. Eskorta z karabinami, z automatami. Wymaszerowali. Nawet Sowieci im klaskali ze swoich koszar, bo myśleli, że prowadzą nową partię bandytów.

Do mojej bazy w nocy przyszło ich ponad czterdziestu, a z więzienia wyszło dwa razy więcej, gdzieś się tam rozproszyli. Swoich już miałem ze trzydziestu. Na jeden obiad pół krowy szło do garnka. Gdzie to karmić, jak to trzymać? Pojawił się bardzo szybko inspektor, major „Ludwik”: No, to kolego „Dzierżyński”, oddział w las. „Dzierżyński” wsiadł na konia i pojechał w las. Między Dynowem a Przemyśłem było nas w sumie około siedmiuset. Nie zaglądała tam żadna bezpieka, a milicja nam się podporządkowała. Myśmy byli władzą chyba do końca lipca, kiedy Sowieci zaczęli wycofywać swoje i polskie jednostki, te berlingowskie, z frontu. Wtedy przygotowywali się do walk z „bandami”, to znaczy z nami. Proszę sobie wyobrazić dyskomfort ubeka, który goniąc za moim oddziałem, pisze, że to pościg za bandą „Dzierżyńskiego”...

Mieliśmy kategoriyczny zakaz działań zaczepnych w stosunku do wojska, i słusznie. Prawo do obrony, ale żadnych zaczepiek. Byłem wtedy pod Dubieckiem, Drohobyczka ta wieś się nazywała, ze wzgórz przez lornetkę widziałem kolumny wojska, jak suną w naszym kierunku. Podstawiliśmy tabory – oddział liczył wówczas stu ludzi, to były trzy plutony – i wysłizgnęliśmy się.

Znowu mi to stoi w oczach. Setka ludzi, to jest sporo. Stoją w dwuszeregu, plutonami. Zagadałem do nich jakoś tak nie po wojskowemu, choć pamiętam, że mnie trochę zatkało. I powiedziałem im, nie wiem, co będzie dalej, może być różnie. Jeżeli ktoś może, to niech po prostu wraca do cywilnego życia i niech zabierze ze sobą kolegów, tych „lwowiaków”, bo oni nie mają co ze sobą zrobić, trzeba się nimi zaopiekować. Oczywiście nie skończyło się na samym przemówieniu. Jeszcze jak byłem w tej komórce legalizacyjnej, zrobiłem takie „apteczki pierwszej pomocy legalizacyjnej”. To była kolekcja czystych blankietów i pieczętek.

Porobiłem takie podstawowe komplety na pierwsze potrzeby. Gdy zwalniałem tych ludzi, dostali ode mnie dokumenty legalizacyjne i pozwoliłem im zabrać broń krótką. Jak człowiek przeszedł do oddziału z karabinem, to karabin zostawał. Ja to całe żelastwo później za sobą ciągnąłem.

### **Zachwiała się nasza wiara**

Zostało ich ponad czterdziestu, ponad pięćdziesięciu odeszło. Nastrój był bardzo smutny. Ludzie dobrze czuli się w tym oddziale, bo to było bezpieczeństwo – w lesie, uzbrojeni, jednolicie dowodzeni, dowódca się za nich martwił. Do tego czasu wierzyliśmy, że my tutaj doczekamy do III wojny światowej i później będą wyścigi, kto pierwszy do Lwowa zdąży. Wierzyliśmy w to święcie. I wtedy po raz pierwszy zachwiała się nasza wiara. Wyglądało na to, że wszystko się rozłązi, wszystko się kończy. Na spokojnie myślę sobie tak – jeszcze zmniejszę stan osobowy oddziału, zostawię tylko tych najostrzejszych, takich kaskaderów zdecydowanych na wszystko, wezmę tylko najlepszą broń. Wszyscy w mundurach, z bronią w rękę przejdziemy przez Czechy na stronę amerykańską. Choć nie mieliśmy żadnych kontaktów na przejście, wiedziałem, że trzeba iść na zachód.

Nocą przejeżdżaliśmy przez Dynów. Kocie lby, bruk na rynku. Piechota jedzie na podwodach (w oddziale było cztery czy pięć koni). Ja także miałem konia, miałem adiutanta, bo to był wydzielony, samodzielny oddział. Adiutantem był Zbyszek Romanowski. Jadą konni, straż przednia i straż boczne, za strażą przednią ja ze Zbyskiem. Już nie pamiętam, czy księżyc był, ale wieczorem i w nocy, jak człowiek długo jest w ciemnościach, to widzi mimo nocy. Przejeżdżamy i chłopcy zaczynają śpiewać taką piosenkę „Otwórz okienko, śliczna panienko, mile uśmiechnij się, potem coś tam... pocałuj, przecież jutro idę w las”. I te okienka się otwierają mimo nocy, a ludzie nie wiedzieli, kto to jedzie – piosenka niby śpiewana po polsku, ale mogła to być bezpieka, berlingowcy, partyzanci, UPA, Sowieci – wszystko mogło być.

Jak dojechałem pod Sanok, do Grabownicy Starzeńskiej, to już znowu miałem prawie setkę ludzi. Wtedy dowódcą Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj był pułkownik Jan Rzepecki i on już w lipcu wydał rozkaz rozwiązywania oddziałów. Do mnie ten rozkaz nie dotarł, ale dotarł do części tych lwowskich oddziałów, i niektórzy dowódcy tych oddziałów rozwiązali je w sposób karygodny. Robili zbiórki i mówili – oddział jest rozwiązany. Bardzo wielu chłopców z tych rozwiązanych oddziałów do mnie dołączało. Przecież oni nie mieli co ze sobą zrobić. Dwóch chłopaków w pełnych mundurach z pepeszami melduje się u mnie – niech pan nas przyjmie, panie komendancie, my jesteśmy z oddziału, i wymienia pseudonim jednego z tych lwowskich dowódców. Ja was, chłopcy, nie mogę przyjąć, parę dni temu zwolniłem połowę moich ludzi i dalej będę zwalniał. Na to jeden z nich na kolana, łapie mnie za rękę i nim ją zdążyłem wyrwać, zaczął mnie całować po rękach, a drugi kaburę otworzył – jak pan mnie nie przyjmie, to ja sobie w łeb strzelę, bo inaczej mnie gdzieś publicznie powieszają. Wtedy były takie publiczne egzekucje w Sanoku, w Dębicy, takie jak za czasów niemieckich.

### **Rozwiązanie oddziału**

W rejonie Brzozowa dopadł mnie rozkaz rozwiązania oddziału, to były ostatnie dni lipca lub pierwsze dni sierpnia 1945 r. Trochę ludzi już odeszło, dalej kogo mogłem, to zwalniałem, wyposażając. Ale to jest rozkaz, żeby rozwiązać oddział w trybie natychmiastowym. Co ja mam zrobić, przecież ja pierwszy raz taki oddział rozwiązywałem, gdy nie miałem jeszcze



ukończonych 21 lat. No, miałem dużą praktykę, ale też wszystkiego nie wiedziałem, nawet oficer zawodowy nie bardzo by wiedział, jak to zrobić, może w koszarach umiałby to zrobić... Co zrobić z bronią? Odprawiłem ludzi przerabiałem już wcześniej, pod Dynowem. Ominęliśmy Brzozów, podprowadziłem oddział do wsi Krasna i tam dokonałem wstępnej fazy rozwiązania. Ludzie płakali, resztki pieniędzy, które miałem, równo podzieliłem. Oprócz tych podwód konnych, któreśmy brali, jak trzeba było ludzi przewieźć, miałem dwa czy trzy wozy niemieckie z mocnymi, wspaniałymi końmi. Komisyjnie wyceniało się ten sprzęt, bo nie było dla wszystkich pieniędzy, więc kto chciał, to brał sprzęt, ktoś, kto wiedział, ile wart jest koń czy wóz, wolał wziąć to niż pieniądze. Broń zamelinowałem we wsi Czarnorzeki, na północ od Korczyny, od Krosna. Nie był to koniec rozwiązania oddziału, bo ludzie musieli dostać np. dowody osobiste. To wszystko ciągnęło się do końca sierpnia.

### **WiN i aresztowanie**

Pojechałem do Przemyśla i zameldowałem się u inspektora, że rozwiązałem oddział, broń jest zamelinowana, zabezpieczona. A on powiada, to panie kolego, pan teraz pojedzie do Krakowa – adres, znak rozpoznawczy, hasło, kontrhasło, odzew. Rozkaz, więc wsiadam w pociąg i jadę. Wtedy pociągami jeździło się przeważnie na dachach, ale jako oficer, wojskowy, kolejarzom się nie legitymowałem, spluwa na pasie, a jakże, jechałem w wagonie, w strasznym ścisku. Przyjeżdżam, idę na ten kontakt i okazuje się, że to jest „Żbik”, szef Kedywu przemyskiego. „Panie kolego, teraz już nie jesteśmy wojskiem, to jest cywilna organizacja, nie będziemy walczyć z bronią w rękę, tylko inspiracja, urabiamy społeczeństwo, jak Mikołajczyk będzie robił wybory, to ujawniamy się i wspieramy Mikołajczyka”. Ja powiadam: Jak to nie jest organizacja wojskowa, to mnie w tym nie ma. „Ale ja dla pana mam tutaj wojskową działkę, informacja i bezpieczeństwo, wywiad i kontrwywiad i strażę zbrojne”. Zgodziłem się. Przyjąłem pseudonim „Aleksander”.

Zacząłem w Krakowie organizować siatkę wywiadu i kontrwywiadu. Moim zdaniem warunki organizacyjne były dużo gorsze niż za Niemców. Większość społeczeństwa uznała, że jest jakaś Polska, biało-czerwone chorągwie są, więc zakładamy końskie okulary – jednych mordują i gnębią, a my robimy studia, ustawiamy sobie życie. Co sprytniejsi jeździli rabować tzw. ziemie wycykane, tylko frajerzy robili to co my. To był cieniutki margines, a nie całe społeczeństwo. Ludzi, którzy znalazliby się na wywiadzie i kontrwywiadzie, prawie nie było. Prowadziłem szkolenia dla powiatów. Akurat miało być szkolenie dla Żywca, skąd miało przyjechać dwóch ludzi. Robiłem to w Teatrze Słowackiego, tam, gdzie jest w tej chwili mała scena, przedtem to była rekwizytornia, to był punkt doskonale mi znany z czasów okupacji niemieckiej. Tego dnia nie wziąłem ze sobą pistoletu, choć bardzo przyzwyczaiłem się do sowieckiego pistoletu typu TT (tokariewskiej typ) – każda ilość amunicji, nie wymagał specjalnej pielęgnacji, może miał trochę za duży rozrzut, ale strzelał (przy strzeleniu z broni krótkiej rozrzut nie jest taki ważny, bo wali się przeważnie na krótką odległość). I tego dnia wpadłem w zasadzkę bezpieki. Zostałem aresztowany z plikiem instrukcji wywiadowczych, kontrwywiadowczych i materiałów szkoleniowych. Z tych dokumentów wynikało, kim ja jestem i czym ja jestem. O moim aresztowaniu poszedł meldunek do towarzysza Stalina. Mam to, bo jest opublikowany zbiór tych meldunków. Tam co prawda napisali, że aresztowali szefa sztabu podokręgu, a ja byłem adiutantem szefa sztabu, to jednak duża różnica. Proszę, kogośmy złapali! Udało mi się, bo oni wtedy bardzo mało wiedzieli o mnie, a o WiN prawie nic, mimo że wcześniej już wpadł Rzepecki i on wszystko sypanął, ale sypanął wierchuszka, a ja do niej nie należałem.

Aresztowanie zaczęło się w teatrze. Gdybym miał broń, to by mnie nie aresztowali, nie udałoby się im to. Uciekałem przez plac Świętego Ducha, oni za mną, dwóch czy trzech, z pistoletami. Wypadłem w ulicę Św. Jana, Floriańską. Rynkiem jeszcze wtedy chodziły tramwaje, otwarte – wskoczyłem do tramwaju, oni za mną, to ja wyskoczyłem, podbiegłem do tego, co przede mną jechał, oni za mną. Wyskoczyłem i biegłem w kierunku Wiślniej, po drodze jest pałac Pod Baranami, tam była komenda NKWD. Z budki przed komendą wyskoczył taki jeden i do brzucha mi przystawił pepeszę (ktoś mi wytłumaczył, że Anioł Stróż postarał się, żeby mnie aresztowano, bo gdybym nie był aresztowany, to nie wiadomo, co by mi jeszcze do głowy przyszło).

Trzy miesiące śledztwa w piwnicach na pl. Inwalidów, później więzienie przy Senackiej, Montelupich, Rawicz, Wronki. Dostałem siedem lat. Ale oni mi nic nie udowodnili, chociaż bezpieka napisała, że to jest Zrzeszenie „Wolność i Niepodległość” (później była „Niezawisłość”). Podczas rozprawy było nas siedmioro. Nie udowodnili nam żadnych powiązań. Ja im potrafiłem wmówić, że to nie był żaden WiN, tylko organizacja „Zrzeszenie”. Trzymałem się tego, co mi „Żbik” powiedział – my jesteśmy zrzeszeniem popierającym Mikołajczyka, choć dokumenty całkiem co innego mówiły. Dostałem siedem lat; na tamten czas był to bardzo łagodny wyrok, i nie pozbawili mnie praw obywatelskich. Wyszedłem po trzech i pół roku, bo objęła mnie amnestia. Gdybym był aresztowany dwa czy trzy miesiące później, to by mnie ta amnestia nie objęła, a mnie aresztowano 5 marca 1946 r., gdybym odsiedział pełne siedem lat, to bym wyszedł w dniu śmierci Stalina. Ożeniłem się będąc w więzieniu, żona zapłaciła, i to był chyba jedyny więzienny ślub kościelny w Polsce ludowej, bo cywilne były. To było w więzieniu na Senackiej w Krakowie, ksiądz był z parafii Św. Piotra i Pawła.

**Wysłuchała i opracowała Barbara Polak**